

# Wybrane problemy metodologii i metodyki badań nad najnowszą historią Polski

Dyskusja prowadzona przez dr. hab. Zdzisława Zblewskiego (IH UJ), z udziałem dr. hab. Mariusza Mazura (IH UMCS), dr. hab. Filipa Musiała (OBEP IPN w Krakowie), prof. dr. hab. Andrzeja Nowaka (IH UJ, IH PAN) oraz prof. dr. hab. Krzysztofa Zamorskiego (IH UJ).

Zdzisław Zblewski – Witam Panów i dziękuję za przyjęcie zaproszenia redakcji czasopisma „Pamięć i Sprawiedliwość” do debaty nad metodologicznymi problemami najnowszej historii Polski. Moje pierwsze pytanie dotyczy kwestii pojęcia współczesności w badaniach historycznych. Badania nad najnowszą historią Polski kończą się zazwyczaj na roku 1989. To dobrze czy źle?

Andrzej Nowak – Pojęcie współczesności jest pojęciem relatywnym. Przypominam, że w czasach PRL ukazywało się popularne i ważne w historii kultury polskiej czasopismo „Współczesność”. Mówiło się nawet o „pokoleniu »Współczesności«”. Szkoda, że dzisiaj mało kto o tym piśmie pamięta. Z tej perspektywy rzeczywiście warto się zastanowić, czy rok 1989 jest sztywną cezurą czasową, która powinna nas, w dwadzieścia trzy lata po okrągłym stole i wyborach czerwcowych, nadal obowiązywać. Osobiście nie wydaje mi się, żeby trzymanie się tej daty było uzasadnione innymi względami aniżeli polityczne. Oczywiście spoglądając na rok 1989 z perspektywy Czou En-laja (swego czasu krytykującego przedwczesne – jego zdaniem – próby oceny rewolucji francuskiej), zawsze możemy uznać, że zajmujemy się tymi wydarzeniami o dwieście lat za wcześnie. Niemniej jednak jeśli historycy zajmujący się współczesnością (lub inaczej: czasami najnowszymi) nie akceptują tego, że nie należy zajmować się wydarzeniami, których aktorzy są nadal czynni na scenie politycznej albo nie podzielają argumentów swoich kolegów – badaczy epok wcześniejszych, to – uważam – nie powinni traktować roku 1989 jako nieprzekraczalnej cezur. Jestem przekonany, że poważne badania historyczne mogą z powodzeniem wykraczać poza tę datę, oczywiście w miarę pojawiania się dostępnych źródeł historycznych. A to już zależy od profilu prowadzonych badań. Niektóre rodzaje źródeł historycznych (na przykład prasa) są dostępne już od dawna, a mimo to nie zawsze są w pełni wykorzystywane. Za znaczącą lukę w badaniach nad polską współczesnością należy na przykład uznać brak monografii roli „Gazety Wyborczej” w procesie

kształtowania polskiej opinii publicznej w ostatniej dekadzie XX w. Owszem, tego typu badania zawsze będą obciążone ryzykiem politycznej oceny. Nie powinno to jednak odstraszać od ich prowadzenia w zgodzie z regułami warsztatu historycznego.

**Mariusz Mazur** – Z punktu widzenia ontologii dzień wczorajszy jest taką samą przeszłością, jak ta sprzed stu lat – nie istnieje. Istnieją jedynie interpretowane przez nas ślady przeszłości. Czymś innym natomiast jest przekonanie, że powinniśmy badać jedynie tę przeszłość, która wydarzyła się co najmniej pięćdziesiąt lat temu, ale nie dlatego, że jest ona lepsza lub gorsza, bardziej czy mniej historyczna, lecz dlatego, że wpływa na to kilka czynników związanych z poznaniem. Po pierwsze dysponujemy większą liczbą źródeł wzbogacających naszą wiedzę, po drugie mamy inny stosunek emocjonalny do tamtych wydarzeń, po trzecie dystans czasowy umożliwia nam głębszą refleksję badawczą. Tyle tylko, że upływ czasu nie zawsze to gwarantuje. Przypomnę, że swego czasu François Furet zastanawiał się, dlaczego współcześnie nie budzi kontrowersji historia Merowingów, natomiast dzieje rewolucji francuskiej (od której minęło przecież ponad dwieście lat) nadal pozostają przedmiotem ożywionych sporów. Istnieje też przekonanie, że historycy powinni badać tak zwane epoki zamknięte. Wynika to m.in. z fascynacji punktami zwrotnymi, odmiennościami pozwalającymi na odróżnianie tego, co „przed” i „po”. To by oznaczało, że rację mieli George Lakoff i Mark Johnson, twierdząc, iż jesteśmy niewolnikami metafor. A rok 1989 zamknął, moim zdaniem, określoną epokę historyczną, którą można badać w sposób całościowy. Wreszcie chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden szkodliwy czynnik – niepotrzebną rywalizację o pole badawcze między historykami a politologami. Reasumując, należy pamiętać, że każda próba periodyzacji historii jest jedynie pewną umowną konstrukcją, dogmatyzm zaś w zakresie prób wyznaczania sztywnych cezur czasowych prowadzi często do mało konstruktywnych debat w rodzaju sporu o datę powstania III Rzeczypospolitej. Do tego wszystkiego należałoby dodać jeszcze dwie uwagi. Po pierwsze historia historiozofii pokazuje, że w trakcie dziejów paradygmaty i tematyka podlegają nieustannym zmianom. Od historii smoków i wodzów, poprzez dzieje polityczne, aż po współcześnie uprawianą historię kobiet, mikrohistorię czy biometrię. Nie wiemy, co i w jakich cezurach będzie badane za lat pięćdziesiąt. Po drugie chciałbym zauważyć, że wbrew pozorom, badania nad historią Polski po roku 1989 są prowadzone. Może o tym świadczyć chociażby powstająca obecnie duża monografia dziejów Lublina, której ostatni tom dotyczy czasów od 1990 r. Istnieje też monografia dziejów politycznych Polski, autorstwa Antoniego Dudka, obejmująca okres 1989–2005. Na roku 2011 kończy ostatnie wydanie swojej *Najnowszej historii Polski* Wojciech Roszkowski. W tej chwili zapoznają się z doktoratem z zakresu historii sportu, którego autor kończy swoją narrację również na roku ubiegłym. Mało tego, na mojej macierzystej uczelni (a zapewne dzieje się tak i na innych uniwersytetach) zarówno na historii, jak i na dziennikarstwie prowadzi się zajęcia dydaktyczne z historii po 1989 r. Trudno więc zgodzić się z tezą, że rok 1989 stanowi cezurę, poza którą historycy nie wychodzą w swoich badaniach.

**Krzysztof Zamorski** – Pytanie o granice teraźniejszości, przeszłości i przyszłości jest bardzo starym pytaniem w teorii historii, ale odpowiedzi na nie udziela

filozofia. W jedenastej księdze *Wyznań*, we fragmencie, w którym św. Augustyn zastanawia się nad problemem czasu, sytuując czas ludzki w umyśle człowieka, znajduje się stwierdzenie, że człowiek jest w stanie rozróżnić jedynie to, co było, oraz to, co się stanie. Przypatrując się uważnie temu zagadnieniu, można dojść do wniosku, że terażniejszości tak naprawdę nie ma, w każdej sekundzie rozplywa się ona w tym, co już było. Św. Augustyn stworzył pewne fundamenty myślenia o czasie, jednak historycy ustosunkowali się do niego w sposób krytyczny. Dość powszechnie sądzą do dzisiaj, że musi istnieć pewien dystans dzielący historyka od przeszłości, historyk bowiem musi zachować obiektywizm, co jest łatwiejsze, jeśli sam nie jest świadkiem opisywanych zdarzeń. Współcześnie, kiedy po zwrocie językowym filozofia uświadamia nam, że utrzymanie klasycznej definicji prawdy jest bardzo problematyczne w badaniach historycznych, argument konieczności zachowania dystansu nie odgrywa już tak istotnej roli. Dlatego też uważam, że nie istnieją przesłanki, które ograniczałyby uprawianie historii do określonych ram czasowych. Można oczywiście postawić pytanie o tzw. bliską przeszłość, która rzeczywiście nie jest taka sama jak przeszłość oddalona w czasie. Należy przy tym podkreślić, że nie istnieje granica bliskiej przeszłości. Prof. Mariusz Mazur podał przykład rewolucji francuskiej, która po dziś dzień potrafi wzbudzać silne emocje. W historii Polski taką granicą jest PRL, którego ocena (w przeciwieństwie do II RP) nadal silnie nas różnicuje. Z kolei badania socjologiczne pokazują, jak z pamięci społecznej niemal całkowicie zniknęła I Rzeczpospolita. Reasumując, bliska przeszłość jest tym typem przeszłości, która bardzo oddziałuje na umysł historyka, a zarazem wpływa na sposób, w jaki ludzie myślą o historii. Bardzo też ciąży na perspektywie postrzegania dziejów. Wielu adeptów historii ogranicza swoje zainteresowania do bliskiej przeszłości. Oceniam, że w Instytucie Historii UJ na pytanie: „Jaki okres historyczny Cię interesuje?” około 70 proc. studentów odpowiedziałoby: „Wiek XX, ponieważ interesuje mnie bliska przeszłość”. Bardzo niewielu studentów jest skłonnych zapuścić się poza ten obszar. To paranoja, bo przecież bliska przeszłość jest szczególnym rodzajem przeszłości. Jest to „historia gorąca”. Wielką rolę odgrywa w niej pamięć. Ogromną presję na ludzki umysł wywierają w niej czynniki intencjonalne, uczuciowe, symbolika wydarzeń. Ta przeszłość dominuje w refleksji pierwszej o dziejach. Próba zdystansowania się, zajęcia stanowiska, które odcinałoby się od tych uwarunkowań, jest praktycznie niemożliwa. Czy oznacza to jednak, że uprawiając historię jako naukę, nie powinniśmy zajmować się bliską przeszłością? Osobiście uważam, że nie ma ku temu żadnych teoretycznych przeciwwskazań. Zresztą komu mielibyśmy to pole pozostawić? Mediom? Politologom? To oczywiście dobrze, że i oni zajmują się tą problematyką, ale w moim przekonaniu historykom nie wolno „odpuścić” badań nad bliską przeszłością. Natomiast co do granicy roku 1989 – data ta nie jest granicą epok, a jedynie sekwencji. Jeśli odwołamy się do bliskiej mi teorii chaosu, to zauważymy, że w historii kształtują się pewne całości. Nie ulega wątpliwości, że w najnowszej historii Polski okres od II wojny światowej do 1989 r. stanowi pewną sekwencję dziejów. Rzecz jasna nie kończy się ona w tym roku w sposób gwałtowny, bo każdy historyk potrafi przecież wykazać, że z jednej strony początki tego przełomu sięgają Sierpnia’80, z drugiej zaś – elementy PRL przetrwały w Polsce jeszcze długo po wyborach czerwcowych. Niemniej jednak

nie ulega dla mnie wątpliwości, że rok 1989 jest końcem pewnej sekwencji. Więć bardzo dobrze, że niekiedy zatrzymujemy się na tej dacie w swoich badaniach. Trudno bowiem zaprzeczyć, że studia nad III Rzeczpospolitą mają nieco odmienny charakter od badań nad okresem przed 1989 r.

**Filip Musiał** – Rozumiem intencję, kryjącą się w postawionym przez prowadzącego dyskusję pytaniu. Niezależnie od pojedynczych przykładów książek traktujących o dziejach III RP (autorstwa Antoniego Dudka, Andrzeja Chwalby czy Janusza Majcherka), cezura roku 1989 na pewno dominuje w większości opracowań, bo przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych z pewnością wyznacza koniec pewnej sekwencji w historii Polski, choć inną sprawą jest dyskutowany coraz częściej problem, czy za symboliczną datę przełomową należy uznawać wyłącznie rok 1989 (w tym kontekście powołałam się na najnowszą syntezę Andrzeja Leona Sowy, który datę tę przesuwając na rok 1991). Warto jednak zwrócić uwagę, że od dwóch bodaj lat istnieją wytyczne Ministerstwa Edukacji Narodowej, zalecające, aby podręczniki szkolne do historii najnowszej kończyły się na dacie przyjęcia Polski do Unii Europejskiej. Ich narracja powinna więc zostać doprowadzona do roku 2004. Myślę, że wytyczne te powinny stać się przedmiotem refleksji podczas kształtowania programów studiów na kierunkach historycznych w szkołach wyższych. Natomiast odnosząc się do podniesionego przez prof. Zamorskiego problemu specyfiki badań nad bliską przeszłością, warto byłoby dopowiedzieć, że zasadnicza trudność w tym zakresie dotyczy kwestii dostępności źródeł historycznych. Zauważmy, że większość opracowań dotyczących III RP powstało w oparciu o bardzo wąską bazę źródłową, ograniczoną w gruncie rzeczy do prasy, wspomnień, relacji i w bardzo niewielkim stopniu – archiwaliów. To bardzo niewiele w porównaniu z ogromem źródeł, jakie do swojej dyspozycji ma współcześnie na przykład historyk PRL. Zasadniczym problemem jest oczywiście ograniczony dostęp do źródeł archiwalnych, spoczywających często w archiwach zakładowych i nieudostępnianych badaczom. Trzeba jednak mieć świadomość, że współcześnie na uczelniach studiuje pokolenie urodzone już w III RP, w naturalny sposób wybiegające w swoich zainteresowaniach poza rok 1989. Uważam, że obowiązkiem historyków jest wyjście naprzeciw tym oczekiwaniom i podejmowanie prób rzetelnego opisu fascynującego zjawiska, jakim było kształtowanie się PRL w III RP.

**Andrzej Nowak** – Chciałbym odnieść się do sprawy, którą w swoich odpowiedziach podnosili niemal wszyscy uczestnicy debaty, a mianowicie kwestii dostępu do źródeł. Uważam, że należałoby na to zagadnienie spojrzeć pod nieco innym kątem. To oczywiście zrozumiałe, że poszukując źródeł do badań nad wcześniejszymi epokami historycznymi, historyk kieruje swoje pierwsze kroki przede wszystkim do archiwów. Jednak w ciągu ostatnich dwóch dekad nasza rzeczywistość uległa zasadniczej zmianie cywilizacyjno-technologicznej. W efekcie badacz okresu po roku 1989 dysponuje niewyobrażalną wręcz liczbą źródeł w postaci zasobów internetowych, opisujących świat nie tylko za pośrednictwem słów, ale także obrazów (np. nagrań, często wykonywanych przez amatorów i wrzucanych do sieci). Dzisiaj nie musimy już poszukiwać źródeł archiwalnych, aby odtworzyć na przykład przebieg manifestacji ulicznej z 2004 r. Co więcej, owa ogromna ilość materiału źródłowego, dostępnego na różnego rodzaju nośnikach elektronicznych, pozwala na uprawianie badań dotyczących bardzo różnorodnych

aspektów nieodległej przeszłości, choć oczywiście zgadzam się, że bez dostępu do materiałów archiwalnych możliwości uprawiania studiów nad historią polityczną są bardzo utrudnione. Niemniej jednak uważam, że nic nie stoi na przeszkodzie w podejmowaniu badań nie tylko nad dziejami społecznymi Polski po roku 1989, ale nawet nad historią polityczną, która przecież dzieje się nie tylko za zamkniętymi drzwiami gabinetów. A co do daty, którą moglibyśmy uznać za symboliczne zamknięcie epoki PRL... Uważam, że nie da się politycznym dekretem wyznaczyć daty, bezdyskusyjnie określającej koniec danej epoki lub nawet sekwencji historycznej. Zgadzam się w tym zakresie z prof. Zamorskim, który zaznaczył, że odpowiedź na to pytanie może mieć jedynie charakter filozoficzny. Ustalenie poszczególnych sekwencji dziejowych jest w gruncie rzeczy możliwe jedynie z perspektywy końca czasów. Pięknie wyraził to swego czasu Adam Mickiewicz w *Zdaniach i uwagach*...: „ten tylko pojmie przeszłe, kto zgadł przyszłe wieki”. Na koniec chciałbym się odnieść do bardzo użytecznej kategorii bliskiej przeszłości, którą do naszej dyskusji wprowadził prof. Zamorski. Uważam, że kluczowym pojęciem w rozważaniach nad tym rodzajem przeszłości jest słowo „pamięć”, przy czym nie chodzi mi w tym wypadku o pamięć kulturową (a więc wielowiekową, dziedziczną z pokolenia na pokolenie – rozróżnienie Jana Assmanna), ale tę, która obejmuje okres ostatnich osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu lat i która zestawia ze sobą doświadczenie ostatnich dwudziestu trzech lat z pamięcią o PRL, a nawet o czasach II wojny światowej. Dla historyków stwarza to unikalną sytuację, w której wyniki ich badań są na bieżąco konfrontowane z pamięcią o opisywanych przez nich wydarzeniach.

**Krzysztof Zamorski** – Chciałbym się ustosunkować do dwóch kwestii. Pierwsza to poruszona przez prof. Nowaka kwestia źródeł. Otóż nie jest już dzisiaj możliwe napisanie historii bliskiej przeszłości w oparciu o tradycyjny warsztat historyka. Niestety, nie zdajemy sobie z tego sprawy i nie przygotowujemy do tego ani samych siebie, ani naszych studentów. Nie jest możliwe napisanie takiej historii bez poznania zasad przygotowywania reportażu telewizyjnego lub redakcji audycji radiowej. Korzystając z tego typu źródeł, musimy zapoznać się ze sposobem filmowania i montażu, dowiedzieć się o ewentualnych ingerencjach cenzury, ustalić, w jaki sposób przekazywano zachowane informacje o wydarzeniach, które nas interesują, zbadać, czy materiał, którym dysponujemy, powstał w jakimś określonym celu (zamiarze), czy był realizowany na jakieś zamówienie polityczne (czyje?) itp. Tymczasem tego typu wiedzy po prostu nam brakuje. A szkoda, bo historii nieodległej przeszłości nie sposób napisać, jeśli wykorzystuje się jedynie klasyczne źródła pisane. W kształceniu historyków dostrzegam pilną potrzebę uwzględnienia takich umiejętności, jak technika pracy z taśmą filmową, ze źródłem cyfrowym, materiałami wideo itp. W tym kontekście zgadzam się prof. Nowakiem, że w Internecie znajduje się ogromna ilość materiału źródłowego przydatnego dla historyków. Co więcej, aby dotrzeć do niektórych z tych źródeł, już dzisiaj musimy sięgać po archeologię komputerową, bo wiele programów nie jest już wykorzystywanych, a co za tym idzie – sporo materiałów, nawet zachowanych, z trudem będziemy mogli odtworzyć.

**Andrzej Nowak** – *Ad vocem* tego, co powiedział przed chwilą prof. Zamorski. Nie przekreślałbym tak łatwo tradycyjnej historiografii. Uważam, że nadal można ją uprawiać.



**Krzysztof Zamorski** – Owszem, można, ale ze świadomością jej ograniczeń. I jeszcze druga uwaga. Zgadzam się, że poszczególne sekwencje dziejowe są w gruncie rzeczy kwestią umowną, niemniej jestem przekonany, że rok 1989 raczej utrwali się jako ważna cezura historyczna.

**Andrzej Nowak** – Tego jeszcze nie wiemy. W dużej mierze będzie to zależało od prowadzonej w przyszłości polityki historycznej.

**Krzysztof Zamorski** – I jeszcze kilka słów na temat pamięci jako kluczowego pojęcia w rozważaniach nad bliską przeszłością. Zgoda, pod warunkiem, że nie będziemy utożsamiali pamięci z historią, co niestety czyni bardzo wielu ludzi. Owszem, Assmann stworzył koncepcję wszechogarniającej pamięci, w gruncie rzeczy koncepcję eliminującą historię. Niemniej pozostawienie dziejów – zwłaszcza nieodległych – pamięci jest zjawiskiem niebezpiecznym, pamięć bowiem nader często jest zerowiskiem dla polityków. To historyk, odnosząc się do pamięci z szacunkiem, jest w stanie uchwycić różnicę między nią a tym, co sam może dostrzec, badając dzieje. To historyk, zdając sobie sprawę z tego, czym jest pamięć, jakie czynniki na nią oddziałują, jest w stanie spojrzeć na badany przez siebie wycinek dziejów z nieco innego punktu widzenia, uwzględniający różne pamięci dotyczące tego samego wydarzenia. Niestety, to, co dawniej traktowane było jako antyhistoria, w gruncie rzeczy stało się dzisiaj dla wielu historią *sensu proprio*. W efekcie wiele osób nie widzi w posługiwaniu się pojęciem „pamięć historyczna” żadnego problemu i nie dostrzega, że pamięć historyczna nie jest historią, tak samo jak historia nie jest dziejami, a jedynie ludzką refleksją o dziejach, tym, jak ludzie wyobrażają sobie i przedstawiają dzieje.

**Mariusz Mazur** – Nawiązując do poruszonego przez poprzednich dyskutantów problemu źródeł do badań nad bliską przeszłością, chciałbym zauważyć, że źródła te dość szybko znikają. Ulotność źródeł internetowych to oczywiście znana kwestia. Ale sprawa ma też inny wymiar. Niedługo zapewne historycy będą musieli wręcz częściowo zmieniać tematykę, którą się zajmują. Warto się na przykład zastanowić, czy za dziesięć lat możliwa będzie analiza współczesnego języka polityków. Na podstawie jakich materiałów? Telewizyjnych „setek”? W PRL przemówienia takie były publikowane w prasie, zamieszczane w publikacjach źródłowych. A dzisiaj? Nawet gdyby przyszły historyk ograniczył się do źródeł audiowizualnych, miałby z odszukaniem potrzebnych źródeł ogromny kłopot, bo z tego, co wiem, po wykorzystaniu redakcji w dużym stopniu niszczą nagrane materiały. Same źródła również się zmieniają. Zniknęły listy, wątpię, czy ktoś dzisiaj pisze pamiętniki, ale powstają blogi. Takie przykłady można mnożyć.

**Zdzisław Zblewski** – W dyskusji poruszyliście, Panowie, wątek krytyki tradycyjnej, pozytywistycznej metody badawczej, zwłaszcza w odniesieniu do dziejów społecznych. Rzeczywiście, z jednej strony można spotkać się z zastrzeżeniami, że źródła archiwalne, zwłaszcza te wytworzone przez instytucje władzy, mają charakter jednostronny. Z drugiej strony podejmowane są próby odtwarzania rzeczywistości za pomocą jedynie wybranych rodzajów źródeł (np. historia mówiona). Jaki jest Panów stosunek do tego zjawiska?

**Andrzej Nowak** – Moim zdaniem krytyka może jedynie służyć rozwojowi świadomości pracy ze źródłem oraz jego ograniczeń. W tym kontekście warto przyglądać się krytycznie nie tylko opracowaniom opartym na źródłach instytucjonalnych (np. dokumentach policji politycznej), ale można, warto i należy

krytykować także prace wykorzystujące nowe typy źródeł (np. historię mówioną), które również mają swoje ograniczenia. Przecież każdy rodzaj źródła przedstawia jedynie pewien punkt widzenia. Najprostszym wyjściem z tej sytuacji jest nieustanne zestawianie różnych typów źródeł ze sobą, ze świadomością, że nigdy nie uzyskamy pełnego obrazu przeszłości. W gruncie rzeczy problem zaczyna się dopiero wówczas, kiedy dany badacz stara się zasugerować odbiorcy swoich ustaleń, że jego obraz przeszłości jest kompletny i wyczerpujący. Osobiście uważam próby dzielenia historiografii na tradycyjną oraz postępową (nowoczesną) za nieporozumienie. Mogę z łatwością wskazać na ogłoszone w ostatnim czasie bardzo wartościowe publikacje historyczne, oparte w całości na źródłach instytucjonalnych.

**Mariusz Mazur** – Nie chodzi o dzielenie historiografii, ale o wykorzystywanie nowoczesnych metod w badaniu przeszłości. Dlaczego historia najnowsza ma być jedyną dziedziną nauki, która zatrzymała się na metodologii pozytywistycznej czy wręcz pruskiej szkole historycznej z końca XIX w.? Dlaczego nie jesteśmy w stanie zaakceptować innych metod badawczych, a ci, którzy mimo wszystko je proponują, nazywani są ironicznie postępowcami albo oświeceniowcami?

**Andrzej Nowak** – Zaprezentowane przez Pana podejście uważam za nieuprawnione. Historyków, którzy koncentrują się w swoich badaniach na analizie źródeł instytucjonalnych (na przykład wytworzonych przez policję polityczną PRL), uważa Pan *de facto* za staroświeckich, a ich metody za przestarzałe. Mój punkt widzenia jest inny.

**Mariusz Mazur** – Włożył Pan w moje usta słowa, których nie wypowiedziałem. Chodzi o proporcje. Jaki procent badań nad najnowszą historią Polski prowadzi się metodami innymi niż te klasyczne, pozytywistyczne? Pięć procent?

**Andrzej Nowak** – Tu jest między nami zgoda. Ja chcę tylko bronić samego prawa historyków do stosowania tradycyjnych metod w badaniach nad dziejami najnowszymi.

**Krzysztof Zamorski** – Chciałbym zacząć od kwestii historii mówionej. Tak jak to było z pamięcią, historia mówiona była kiedyś, w okresie rodzącego się buntu postmodernistycznego, traktowana jako antidotum na historię klasycznie pojmowaną i miała prowadzić do ograniczenia możliwości zawłaszczania historii przez polityków. Miała osłabić dominację narracji mocniejszych i dać głos słabszym. W epoce rozwoju *gender* wsłuchiwała się w głos kobiet, potem robotników czy bezrobotnych – próbując pokazać dramat ich życia. Takie były założenia u jej zarania. Jako „antyhistorię” postrzegali ją wówczas zazwyczaj jedynie ci, którzy po prostu zbyt mało wiedzieli o historii. Bo przecież w obrębie historii istniała już wówczas praktyka wykorzystywania relacji ustnych. Nieprzypadkowo jeden z najważniejszych tekstów o historii mówionej w polskiej historiografii i metodologii historii to tekst Krystyny Kersten, który powstał w oparciu o doświadczenia zgromadzone podczas zbierania przez nią relacji. W pewnym momencie dla całego środowiska historycznego stało się jasne, że historia mówiona stanowi dla badaczy ogromną szansę. Zupełnie inaczej rozumieliśmy jednak jej użyteczność. Historycy przekonani co do tego, że możliwym jest mówienie o historii w ję-  
den, powszechnie uznany i akceptowany sposób, chcieli traktować *oral history* jako bezwzględnie istotny materiał, który umożliwiłby potwierdzenie pewnej wizji historii. Z kolei sami zwolennicy historii mówionej podkreślali (co było

rzeczywistym osiągnięciem tego nurtu), że *oral history* daje autentycznie polifoniczny obraz historii, ponieważ prezentuje różne punkty widzenia (przykładem może tu być książka Marty Kurkowskiej-Budzan o podziemiu niepodległościowym), ale jednocześnie jest prawdziwa przede wszystkim w kontekście osoby, która mówi, której stwarza się szansę przekazania swojego doświadczenia – w przyszłość. Problemy powstają dopiero wtedy, gdy historycy zaczynają podchodzić do uzyskanego przekazu w sposób wybiórczy. Jakkolwiek tak zdefiniowana historia mówiona ma z całą pewnością wielką przyszłość przed sobą, to już dzisiaj w środowisku osób ją uprawiających panuje dość powszechne przekonanie, że nie jest to żadne szczytowe osiągnięcie metodologiczne, że jest to po prostu jedna z metod, przy czym stosując ją, musimy w każdym wypadku postępować zgodnie z przyjętymi założeniami metodologicznymi, dotyczącymi m.in. zasad dokumentacji relacji. Należy przy tym pamiętać, że w tekstach naukowych opartych na metodzie *oral history* niedopuszczalne jest ograniczanie się do stwierdzenia: „bo tak mówią relacje”, bez umożliwienia odbiorcy zapoznania się z nimi. Reasumując, historia mówiona ma swoje zalety, z całą pewnością przyczyniła się do upowszechniania się świadomości, że przyszła narracja o przeszłości będzie narracją wielowątkową, polifoniczną, stworzyła też warunki nie tylko do utrwalenia doświadczeń poszczególnych osób, ale również przekazania ich kolejnym pokoleniom (w tym ostatnim zakresie ogromne zasługi ma IPN). Inną sprawą jest przechowywanie świadectw historii mówionej oraz ich dostępność dla historyków. Z całą pewnością należałoby w przyszłości doprowadzić do ich zewidencjonowania w skali ogólnopolskiej. I na koniec jeszcze jedna uwaga. Nie zgadzam się z opinią, że polska historiografia jest tak tradycyjna, jak mówił prof. Mazur. Proszę zapoznać się chociażby z tym, co pisze Marcin Kula, Marta Kurkowska-Budzan czy Ewelina Szpak. Tradycyjną pozostaje, niestety, nadal historia polityczna. Ja jednak nie uważam, żeby główną płaszczyzną debaty o polskiej historiografii dziejów najnowszych był spór o jej nowoczesność. W swojej książce przedstawiłem tezę (podważaną przez niektórych uczonych, np. Rafała Stobieckiego), że historia jako nauka wypracowała dotąd dwa paradygmaty: paradygmat historyzmu i paradygmat HSS (historii jako nauki społecznej). Oba są ciągle w użyciu i nie wiemy, co się stanie w przyszłości. Nie jestem też przekonany, czy istnieje już trzeci paradygmat, który moglibyśmy nazwać paradygmatem antropologii historycznej. Historyk, uprawiając historię, opowiadał się do tej pory po stronie któregoś z tych paradygmatów, co oznacza, że również współcześnie nowoczesne opracowania historyczne mogą być z powodzeniem tworzone w paradygmacie historyzmu. Co powiedziawszy, muszę podkreślić, że mnie osobliwie bliższy jest paradygmat HSS, który uważam za bardziej otwarty na wariantowość metod i nowe możliwości prezentacji. Z kolei historyzm z pewnością sprawdza się w odniesieniu do klasycznej literatury, nieprzypadkowo bowiem sformułowana przez Haydena White’a teoria, że historia nie jest nauką, powstała w oparciu o analizę dzieł historyzmu.

**Mariusz Mazur** – Wydaje mi się, że prof. Zamorski mocno wyidealizował w swojej wypowiedzi naszą rzeczywistość naukową. Kilku badaczy, w tym Marcin Kula czy Robert Traba, o których oczywiście słyszałem, a którzy inaczej uprawiają historiografię, nie zmienia obrazu dominującej u nas praktyki badawczej nastawionej na uprawianie historii zdarzeniowej i politycznej. Bardzo dobrze,



że sytuacja w tym zakresie zaczyna ulegać zmianie. Na przykład za kilka miesięcy we Wrocławiu odbędzie się, zorganizowana przez IPN, konferencja poświęcona antropologii aparatu bezpieczeństwa. Rok temu na UMCS odbyła się konferencja na temat niekonwencjonalnych, pozaakademickich form uprawiania historii z udziałem historyków z różnych środowisk i ośrodków akademickich, w tym również IPN. Reprezentowane przez nich nowatorskie podejście napawa optymizmem. Jednak to stale margines zainteresowań.

**Andrzej Nowak** – Sądzę, że zaproponowaną przez prof. Zamorskiego koncepcję dwóch paradygmatów warto by zinterpretować w ten sposób, aby oba te paradygmaty nie wykluczały się, ale „oświeślały” (weryfikowały) wzajemnie. Bywa bowiem i tak, że źródła historyczne, po które sięga historiografia umownie zwana nowoczesną (np. *oral history*), są wykorzystywane w sposób radykalnie sprzeczny z zasadami krytyki źródłowej, obowiązującej w historiografii tradycyjnej. Na przykład złożoną wiele lat później od opisywanych wydarzeń relację osoby wypędzonej traktuje się tak, jakby była wiernym zapisem jej przeżyć, całkowicie abstrahując od późniejszych doświadczeń, mających przecież istotny wpływ na świadomość danej jednostki.

**Krzysztof Zamorski** – Zgadzam się z uwagą prof. Nowaka, zwłaszcza że wiele elementów paradygmatu historyzmu przeniknęło do paradygmatów HSS oraz antropologicznego (o ile przyjąć, że ten ostatni już istnieje). Niemniej zgadzam się również z tymi krytykami dorobku IPN, którzy podczas łódzkiej konferencji „Bez taryfy ulgowej” podnosili, że znaczna część publikacji Instytutu oparta jest na rudymencie pojmowanym historyzmem, w którym źródła instytucjonalne są traktowane jako ważniejsze od na przykład źródeł osobistych.

**Zdzisław Zblewski** – Chciałbym zapytać o stan debaty nad współczesną interpretacją najnowszych dziejów Polski. Można odnieść wrażenie, że na poziomie popularnym o wpływ na świadomość społeczną rywalizują dwa podejścia do historii najnowszej, które umownie możemy określić jako relatywistyczne i heroiczne. O ile reprezentanci pierwszego z nich nie ukrywają swego sceptycyzmu wobec wielu istotnych elementów polskiej tradycji narodowej, o tyle drudzy niejednokrotnie zbyt łatwo całościowo je gloryfikują. Czy we współczesnej polskiej historiografii możliwe jest osiągnięcie konsensusu między tymi dwoma stanowiskami? Czy możliwa jest refleksja krytyczna wewnątrz nurtu tradycjonalistycznego?

**Krzysztof Zamorski** – Nie dostrzegam przesłanek do przyjęcia takiego rozgraniczenia. Na pewno jest tak, że znaczna część polskiej historiografii dotyczącej dziejów najnowszych jest uprawiana w nurcie historyzmu. Jest to zrozumiałe, gdyż w Polsce ze względów historycznych historyzm był paradygmatem, w którym większość badaczy została wykształcona. Nie dostrzegam natomiast prac napisanych w duchu relatywistycznym. Uważam natomiast, że sam fakt, iż na ten temat rozmawiamy, wynika z cech patrzenia człowieka na dzieje, cech, które znamy i które są niejako przyrodzonym elementem refleksji człowieka o dziejach. Nazywamy to sublimacją dziejów. W mniejszym lub większym zakresie każdy człowiek, czy tego chce czy nie, sublimuje dzieje. Robi to, ponieważ poszukuje wartości, usiłuje określić samego siebie, próbuje otworzyć się na przeszłość. Zaprzeczać temu nie sposób, zresztą nie ma ku temu powodów, tyle tylko, że czasami może to prowadzić do historii heroikomicznej, takiej, w której sens ma

jedynie to, co monumentalne. Moje podejście do tego problemu jest następujące: istnieją dwa typy refleksji o historii. Tak zwana refleksja pierwsza, kiedy nie uruchamiamy elementów krytyki przeszłości w oparciu o źródła, oraz refleksja krytyczna, w której elementy te zostają uruchomione. Postawa człowieka, który będąc przywiązany do symboli narodowych, jednocześnie krytycznie postrzega dzieje, nie oznacza wcale, że jest to relatywizm. Jeśli widziałbym gdzieś zastosowanie pojęcia relatywizmu, odnosiłbym je raczej do tej grupy historyków i kulturologów, która jest przekonana, że przedstawienie dziejów, narracja o nich, jest aktem twórczym niepozostającym w żadnym, absolutnie w żadnym związku z płaszczyzną dziejów, jest luźną i swobodną opowieścią o przeszłości. W takim ujęciu postawy relatywistycznej bardzo ważnym elementem będzie podniesienie kwestii etyki historyka, który jasno powinien zadeklarować, że jest zwolennikiem określonych poglądów, a w konsekwencji pisze historię z pewnego, konkretnego stanowiska. Jednak czy jest to relatywizm w stosunku do dziejów? Przecież reprezentanci opisanej przeze mnie przed chwilą postawy odczuwają sensualność przeszłości w takim samym lub większym stopniu niż zwolennicy historyzmu. Jednak każda refleksja krytyczna, czy to w obrębie historyzmu czy paradygmatu HSS, nadaje naszemu stosunkowi do dziejów pewien dystans. Trudno byłoby tam znaleźć miejsce dla historii heroicznej, która powinna odgrywać raczej rolę wyznacznika wzorców postaw społecznych. Dobrym przykładem może być tu postać Piłsudskiego, która niegdyś mocno dzieliła Polaków, a dziś uległa heroizacji w efekcie wspomnianego procesu sublimacji dziejów, będącego naturalnym elementem myślenia o przeszłości.

**Andrzej Nowak** – Zarówno samo pytanie, jak i odpowiedź prof. Zamorskiego uważam za nieporozumienie. Ryzykownym wydaje mi się zawarte w pytaniu stwierdzenie, że przedstawiciele nurtu heroicznego zbyt mało krytycznie ustosunkowują się do polskiej tradycji narodowej jako całości, że stoją na gruncie obrony całej polskiej historii. Ja na pewno stoję na gruncie obrony całej polskiej historii. Całej, to znaczy we wszystkich jej przejawach. Jeśli chce się być krytycznym wobec historii Polski, należałoby wskazać, wobec jakich jej aspektów (oczywiście tych, których dotyczy sfera sublimacji dziejów, a więc dotyczących tożsamości, zakorzenienia we wspólnocie lub kwestii alternatywnego jej zdefiniowania itp.) taką postawę się zajmuje. W tym kontekście spojrzenia na historię Polski, także tę najnowszą, zawierają elementy krytyczne różnie adresowane. Należy przy tym podkreślić, że każde takie spojrzenie zawiera różnie adresowane zarówno elementy krytyczne, jak i heroiczne. Podam przykład skonstruowany na poczekaniu. Można wyróżnić trzy wizje Polski: monarchiczną, arystokratyczną i demokratyczną. Przez pryzmat każdej z nich można inaczej patrzeć na dzieje „Solidarności”. Pierwsza przyjmuje za decydującą rolę Lecha Wałęsy, którego jakakolwiek krytyka jest nie do przyjęcia z punktu widzenia procesu sublimacji dziejów. Druga zakłada z kolei kluczową rolę doradców (lub wybranych doradców), których rozsądne propozycje z jednej strony nie zawsze były uwzględniane przez Wałęsę, a z drugiej zaś – często nie rozumieli ich szeregowi członkowie związku. Wreszcie, według wizji trzeciej to nie Wałęsa i nie doradcy, ale naród miał zawsze rację – owe dziesięć milionów związkowców. Która z tych interpretacji jest krytyczna, a która heroiczna? Ja powiedziałbym raczej, że każdy z nas, sublimując dzieje, ma tendencje do heroizowania jakichś elementów

i krytykowania innych. Natomiast wykluczenie krytyki lub wykluczenie heroizacji wydaje mi się nieporozumieniem, gdyż jest to niemożliwe do osiągnięcia w prowadzonych przez nas badaniach. Wzywam do uprawiania historiografii świadomej owego pluralizmu krytyki i pluralizmu heroizacji. W tym kontekście bardzo podoba mi się zgłoszony przez prof. Zamorskiego postulat, żeby zawsze definiować pozycję (afiliację polityczną, taką czy inną tożsamość), z której się występuje w tego typu sporach. Pozwoliłoby to bowiem na skonfrontowanie deklarowanych poglądów politycznych z prezentowaną wizją historyczną i ocenę, czy poglądy te mają wpływ na ewentualny stronnicy dobór lub wręcz naginanie faktów do z góry założonej tezy. I jeszcze jedna uwaga: moim zdaniem słowo „heroizm” nie do końca oddaje dzisiejszy stan sporów o pamięć (bo w tym kontekście należałoby chyba umieścić postawione w tym punkcie naszej debaty pytanie). Otóż w sporze tym coraz wyraźniej widać przesunięcie punktu ciężkości ze sfery *active hero* na sferę *passive victim*. Coraz częściej liczy się nie bohater prowadzący tłumy na barykady, ale ci, którzy zginęli, ogólnie rzecz biorąc – ofiary. Z tego punktu widzenia zgoła inaczej wygląda spór o powstanie warszawskie. Czy będziemy przedstawiać go jako spór o owe niewinne ofiary, czy będziemy przedstawiać te ofiary jednocześnie jako bohaterów, czy też będziemy szukać jakiegoś uzasadnienia politycznego dla decyzji o wybuchu powstania i poniesionych w nim strat? Na podobnej zasadzie można byłoby się odwołać do sporów wokół liczby ofiar stanu wojennego – czy ograniczyć się do owej setki, która poniosła śmierć, czy też może doliczyć ów milion, który wyjechał z kraju? Tak czy inaczej proszę zauważyć, że wszystko we współczesnej debacie toczącej się wokół sporów o pamięć koncentruje się wokół legitymacji, jaką daje liczba ofiar oraz trauma z tym związana. Im więcej wskażemy ofiar, tym nasz głos bardziej się liczy. Takie ujęcie w dużej mierze zastąpiło dawne licytowanie się w bohaterach. Dzisiaj ważniejsze jest, że nas zginęło więcej. Trzeba sobie uświadomić, że taki jest dzisiaj trend w debacie nad pamięcią, choć niewykluczone, że za pięć czy dziesięć lat będzie ona wyglądała zupełnie inaczej. Najbardziej potrzebna w tym wszystkim wydaje mi się samoświadomość tych uwarunkowań. Tego, że werdykt, który dzisiaj wydajemy, nie jest werdyktem ostatecznym. Spory o to, kto był bohaterem, a kto zdrajcą, będą trwały. Tylko wtedy, kiedy uświadomimy to sobie i dopuścimy możliwość wzajemnej krytyki, będziemy mogli zobaczyć całą złożoność naszej politycznej historii i sporów o naszą tożsamość. Będziemy wówczas mogli kształtować tę tożsamość w sposób bardziej świadomy.

**Filip Musiał** – Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Uważam, że na poziomie popularyzacji historii postawiony problem jest trudny do rozwiązania. Popularyzacja wymaga daleko idących uproszczeń i nawet historycy zajmujący się publicystyką historyczną takich uproszczeń dokonują. Natomiast w odniesieniu do badań naukowych nad najnowszą historią Polski proponuję przyjąć nieco inne ujęcie. W jaki sposób badania te są interpretowane? Dość wyraźnie widać, że w życiu publicznym mamy do czynienia ze spadkobiercami trzech postaw: postawy niepodległościowej (są to ci, którzy uznają, że wobec PRL należało zachowywać postawę absolutnego oporu, całkowitego braku akceptacji, odrzucenia), postawy demokratycznej (są to ci, którzy w ramach PRL poszukiwali możliwości działania) oraz postawy osób, które w PRL były w taki czy inny sposób powiązane z instytucjami reżimu. Rozumiem więc, że pytanie o to, czy możliwa jest krytyczna

refleksja wewnątrz obozu tradycjonalistycznego, dotyczy przede wszystkim osób reprezentujących postawę niepodległościową. Na tak postawione pytanie odpowiadam twierdząco. Jeśli popatrzylibyśmy na publikacje o charakterze naukowym, to nie jest wcale tak, że ci, którzy piszą o oporze niepodległościowym, i to piszą o nim z sympatią, nie są w stanie zadawać daleko idących pytań krytycznych wobec postaw opisywanych przez siebie bohaterów wydarzeń. Mogę tutaj przywołać przykład debaty wokół powstania warszawskiego, ale mogę też przytoczyć przykłady licznych prac opisujących postawy uczestników polskiego podziemia niepodległościowego po wojnie, w których stawia się pytanie nie tylko o sensowność istnienia tego podziemia, ale także o zasadność poszczególnych akcji przez to podziemie przeprowadzanych. Dlatego uważam, że krytyczna refleksja w obrębie obozu, określonego w pytaniu jako tradycjonalistyczny, jest możliwa. Co więcej, jestem przekonany, że moglibyśmy wskazać nazwiska konkretnych badaczy, którzy już dziś refleksję taką podejmują.

**Mariusz Mazur** – Przypuszczam, że odpowiedź prof. Zamorskiego była skutkiem pewnego nieporozumienia związanego z definicją pojęcia „relatywizm”. Prawdopodobnie w pytaniu zadany przez prowadzącego dyskusję chodziło o podział na historiografię krytyczną i heroiczną. Gdyby postawić pytanie w inny sposób, o podejście do historii: krytyczne i bezkrytyczne (pamiętając o roli krytycyzmu w praktyce naukowej), to czy wszyscy zgodzilibyśmy się z takim rozróżnieniem? Mam wrażenie, że używając tych samych terminów, każdy z nas podkłada pod nie inne treści. Stąd tak istotna jest precyzyjna operacjonalizacja kategorii używanych w nauce. Cieszę się, że moi przedmówcy są zgodni, iż krytycyzm w refleksji nad przeszłością potrzebny jest w każdej narracji. Zarówno ten na poziomie krytyki źródeł, jak i ten dotyczący krytycznego podejścia do dziejów.

**Zdzisław Zblewski** – W debatach publicznych często można spotkać się z opiniami, formułowanymi niekiedy w formie zarzutu, że wyniki badań historyków są wykorzystywane w bieżących sporach politycznych. To dobrze czy źle? Czy Pańów zdaniem istnieje jakaś metoda, by uniknąć z jednej strony stygmatyzowania historyków politycznymi (a niekiedy wręcz partyjnymi) etykietami, z drugiej zaś instrumentalizowania wyników badań nad historią najnowszą?

**Krzysztof Zamorski** – Każda historia, czyli ludzka refleksja nad dziejami, jest wyrażana przez człowieka, od którego trudno wymagać, aby był pozbawiony poglądów politycznych. Każdy historyk ma swoje przekonania, żyje w określonym środowisku i określonej kulturze. Problemy zaczynają się wówczas, kiedy osoba pisząca historię w duchu swego wyobrażenia świata powiada, że pisze ją w sposób absolutnie obiektywny. Co więcej, sama głęboko w to wierzy a zarazem każe wierzyć w to innym. Jeśli chodzi o historię najnowszą, dramat rozpoczął się wówczas, kiedy historiografia, w szczególności historiografia IPN, włączyła się do bieżącego nurtu politycznego. Zaangażowała się bardzo wyraźnie po jednej stronie politycznej. Osobiście uważam to za zjawisko bardzo niedobre. Natomiast z drugiej strony nie wierzę w historię politycznie bezstronną. Jest to niemożliwe, szczególnie jeśli chodzi o historię dziejów politycznych. Zresztą nie sądzę, żeby było w tym coś wstydlivego. Nie uważam, żebyśmy musieli wstydzić się tego, że jesteśmy Polakami, więc historię Polski piszemy z własnego punktu widzenia. Jest to naturalne i zrozumiałe pod warunkiem, że nie będziemy wówczas utrzymywali, iż piszemy w sposób całkowicie obiektywny. Czym innym jest

wiara w absolut obiektywizmu, a czym innym, bardzo pożądanym zresztą i koniecznym w refleksji krytycznej, zabieg obiektywizacji sądów. Zresztą problem obiektywności czy obiektywizacji w historii jest bardzo ciekawym zagadnieniem, który jednak w tym wątku naszej dyskusji trudno byłoby szerzej rozwijać. Dramatem współczesnego człowieka jest jeszcze i to, że my, historycy, tak bardzo angażujemy się w politykę, że można wręcz odnieść wrażenie, że sami chcielibyśmy politykę uprawiać. Tymczasem *audience*, ludzie, którzy mają nas słuchać i czytać, coraz częściej i coraz bardziej przestają politykom wierzyć. Mamy do czynienia z ludźmi wykształconymi, o dużym i swobodnym dostępie do wiedzy, posiadającymi zdolność własnego widzenia świata. Na świat polityków i związanych z nim historyków, na zgłaszane przez nich propozycje interpretacji dziejów patrzą coraz bardziej krytycznie, coraz mniej im wierzą. Mówię rzecz jasna o ludziach żyjących w systemach demokratycznych. Oczywiście inaczej wygląda sytuacja w krajach, w których istnieje problem walki o wolność, niepodległość itp. Reasumując, pisząc o przeszłości, powinniśmy bardzo wyraźnie deklarować swoje opcje polityczne, a jednocześnie powinniśmy dbać o własną niezależność. Mamy prawo do własnych poglądów i nie musimy ich ukrywać. Ale też powinniśmy zadbać o to, żeby nasze poglądy nie stały się młotem, który politycy wykorzystują do wzajemnego okładania się po głowach.

**Zdzisław Zblewski** – W jaki sposób?

**Krzysztof Zamorski** – W taki, że nie bierzemy udziału w tej walce. Chodzi mi tu o to, że nie wchodzimy na boisko czy na ring, na którym biją się politycy, w szczególności nie próbujemy wyręczać sędziego. Na ring i stadiony wdarły się dzisiaj media, raz są graczem, raz sędzią. Wobec powstałego kociokwiku my jesteśmy potrzebni widzowi, my mamy jej i sobie pomóc w ocenie spektaklu dziejącego się na naszych oczach. W szczególności jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że życie dzieje się poza stadionem i to ono powinno nas interesować naprawdę. Ponadto powinniśmy się bronić przed zawłaszczaniem historii. Każdy historyk doskonale wie, że istnieje szerokie spektrum poglądów, że historia musi być polifoniczna. Wyrażenie poglądu na historię z innego niż mój własny punktu widzenia nie oznacza przecież, że osoba, która ma odwagę taki pogląd wyrażać, jest zaprzańcem lub że nie jest patriotą.

**Mariusz Mazur** – Dominujący gellnerowski fundamentalizm poznawczy polega na przekonaniu, że wyłącznie ja znam prawdę, natomiast wszyscy inni, którzy nie podzielają moich poglądów, są zdrajcami lub głupcami. Jest to problem bardzo szeroki, dotyczy wielu historyków, zwłaszcza z grona historyków klasycznych, będących święcie przekonanych, że to właśnie oni prawdę odkrywają. A jeśli do tego dodamy, że prawda może być tylko jedna, to rodzą się konsekwencje przed chwilą przeze mnie opisane. Jeśli w publicystyce politycznej dopuszczalne jest zdroworoządkowe pojmowanie prawdy historycznej, to jej pojawianie się w refleksji naukowej jest kontrowersyjne i wymaga krytycznego spojrzenia. Pisali już o tym i historycy, i filozofowie historii. Co się zaś tyczy wzajemnych relacji między polityką a nauką, to historia faktycznie zawsze była upolityczniona (spójrzmy np. na II Rzeczpospolitą) i nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek upolityczniona być przestanie. Nie zgodzę się jednak z postawioną tu tezą, że powinniśmy deklarować swoje poglądy polityczne. Choć czytam dość dużo prac wydawanych przez IPN, to nie mam zielonego pojęcia, jakie poglądy ma 90 proc.



ich autorów. Co więcej, zupełnie mnie to nie interesuje. Sięgam po te publikacje wyłącznie po to, by zapoznać się z zamieszczoną w nich wiedzą, ale nie o autorach, a o wynikach ich badań. Z drugiej strony nie widzę powodu, aby unikać przypisywania historyków do konkretnych opcji politycznych. Co więcej, odnośną wrażliwość, że są i tacy badacze, którzy wręcz tego oczekują, a nawet sami to deklarują. Czasami podczas lektury przekonujemy się, że autoprezentacja jest dla niektórych osób ważniejsza niż przedmiot ich studiów. W takich wypadkach dla czegoż by odbierać im ważny element ich autoidentyfikacji? Pamiętajmy jednak, że w koegzystencji polityki i nauki, tej ostatniej nigdy nie wychodzi to na dobre. To nie historycy wykorzystują polityków, ale na odwrót. I wreszcie odpowiedź na pytanie, co mają robić historycy, którzy takich etykiet chcieliby unikać. Po pierwsze zdobyć się na autokrytycyzm, po drugie wykazywać krytycyzm wobec źródeł, czyli pracować w zgodzie z warsztatem, a nie „wartościami wyższymi”, bez względu na to, jak je definiują, po trzecie wykazać wielostronny punkt widzenia w ocenie dorobku innych badaczy, niezależnie od ich oraz swoich politycznych i środowiskowych afiliacji.

**Filip Musiał** – Sądzę, że warto byłoby się zastanowić, dlaczego historia najnowsza wzbudza tak silne emocje polityczne. Być może jest to zjawisko naturalne, ale wydaje mi się, że nie w każdym czasie natężenie tych emocji bywa tak wysokie jak współcześnie. Pewnym wyjaśnieniem tego fenomenu jest zapewne fakt, że ciągle znajdujemy się stosunkowo blisko końca peerelowskiej sekwencji historycznej, czyli roku 1989. Oznacza to, że przeszłość osób aktywnych publicznie (w tym również w polityce) jest często zanurzona w PRL, a więc badania nad tym okresem dotyczą ich w sposób jak najbardziej bezpośredni. Oznacza to też, że partie polityczne – niekiedy na poziomie programowym, niekiedy zaś jedynie na płaszczyźnie marketingu politycznego – odwołują się do pewnych wydarzeń czy też tradycji historycznych. Dlatego musimy przyjąć, że badania nad historią najnowszą, w szczególności nad PRL, jeszcze przez pewien czas będą wykorzystywane w dyskusji politycznej, a z drugiej strony część historyków będzie etykietowana – i to nie tylko dlatego, że sami tego chcą, ale także dlatego, że jest to jedna z form politycznej walki z treściami historycznymi, które nie odpowiadają danej opcji politycznej. Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Przychyłam się do tego, o czym mówił prof. Zamorski: badać i opisywać, ale nie wkraczać w sferę *stricte* polityczną.

**Krzysztof Zamorski** – Chciałbym odnieść się do poruszonego przez prof. Mazurę wątku prawdy historycznej. Przypomnę, że cały szereg technik, które mają prowadzić do tego, żeby historia była nauką, zasada się na przekonaniu, że jakkolwiek niemożliwe jest osiągnięcie pełnego obiektywizmu, to możliwy jest proces obiektywizacji. Jeśli historia nie jest publicystyką, a ma być nauką, musi zostać podjęty proces obiektywizacji, który polega na dwóch zabiegach: referencyjności i inferencyjności. Referencyjności – to znaczy, że każdy, kto czyta moje teksty, będzie wiedział, skąd biorę informacje i na kogo się powołuję, oraz będzie mógł sprawdzić, czy robię to poprawnie. Z kolei inferencyjności – to znaczy, że powinienem analizować źródło historyczne w taki sposób, który pozwoli mi odtworzyć (czy też dążyć do odtworzenia) nie tylko jego literalne brzmienie, ale także zamiary, które przyświecały wytwórcy w momencie powstawania źródła. W tym sensie, jakkolwiek większość teoretyków odrzuca dzisiaj możliwość

zastosowania w historii klasycznej definicji prawdy, ja uważam, że istnieją zdania bazowe (choć koncepcja ta jest dziś powszechnie krytykowana), że istnieją takie stwierdzenia w historii (na przykład stwierdzenie faktu), które w jakimś zakresie są weryfikowalne, są zbliżone do klasycznej definicji prawdy.

**Mariusz Mazur** – I tu się różnimy. Niestety, muszę się przyłączyć do krytyków wspomnianej koncepcji Jerzego Topolskiego. A szczególnie do krytyki prób łączenia zdań bazowych i konstruktywizmu w ostatnich jego książkach, co epistemologicznie nie mogło się udać.

**Zdzisław Zblewski** – Na koniec chciałbym poruszyć problem dylematu między prawdą historyczną a godnością osobistą jednostki. Czy Panów zdaniem dylemat ten został sformułowany poprawnie? Gdzie w badaniach nad historią najnowszą powinna przebiegać granica między wolnością badań historycznych a ochroną godności osobistej? Czy Panów zdaniem istnieją takie metody badawcze, które pozwoliłyby na całkowite wyeliminowanie tego problemu?

**Mariusz Mazur** – Myślę, że taką granicą są przepisy ustawy o ochronie danych sensorywnych. Inną sprawą jest, że moim zdaniem wolność słowa jest zbyt często wykorzystywana, zbyt często hasła rozliczenia i „przywracania sprawiedliwości” są nadużywane do załatwiania partykularnych, niestety również politycznych interesów. Uważam to za niedopuszczalne, ale przyznaję, że nie mam gotowej recepty, jak tego uniknąć i obawiam się, że nikt nie wie, jak rozwiązać tego typu problemy. Generalnie jednak jestem zdania, że praktyka zmierza w tym zakresie w złą stronę. Egalitaryzm demokratyczny, gassetowski bunt mas niesie ze sobą smutne konsekwencje. Stajemy się społeczeństwem „potocznym”, z wszelkimi towarzyszącymi temu wadami, które jest zainteresowane np. danymi wrażliwymi i zawsze znajdzie się ktoś, kto przekroczy przyjętą przez nas granicę moralną. A tylko i wyłącznie od naszych przekonań moralnych zależy, co powinniśmy robić, a czego bezwzględnie unikać. Żadne metody naukowe tego nie zastąpią. Inną kwestią jest to, na ile dbać np. o godność mordercy. Czy przedstawianie zdjęć ze stosami nagich ciał osób pomordowanych czy ciał żołnierzy podziemia niepodległościowego zastrzelonych przez UB nie odbiera im godności? Czy buty zgromadzone w nieładzie w kontenerach w muzeach obozów koncentracyjnych nie dehumanizują? Z tym wszystkim musimy się jeszcze zmierzyć.

**Krzysztof Zamorski** – Podobnie jak mój przedmówca uważam, że nie ma na to dobrej recepty. Na pewno powinniśmy pamiętać o kilku rzeczach. Wcześniej jednak chciałbym dodać kilka słów do wątku poprzedniego, dotyczącego kwestii obiektywizmu. Znam dwóch historyków, którzy umieścili w tym zakresie poprzeczkę tak wysoko, że żaden z następców nie był w stanie jej osiągnąć. Jeśli chodzi o język obiektywizmu, był to Leopold von Ranke, który, pisząc o dziejach papieżstwa, postępował tak, że czytelnik jego pracy nie jest w stanie odnaleźć w niej żadnego śladu, który mógłby wskazywać, że jej autorem jest niemiecki protestant. Drugą postacią jest Fernand Braudel, który stworzył koncepcję historii totalnej, przy czym okazało się, że tylko on sam jest w stanie pisać o historii na tak wysokim poziomie. Natomiast wracając do odpowiedzi na ostatnie pytanie, zadane przez prowadzącego. Myślę, że działają tutaj proste zasady, przede wszystkim jednak chyba etyki. Z jednej bowiem strony jako uczeni powinniśmy mieć prawo dotarcia do każdego. Sposobami legalnymi i nielegalnymi. Jeśli chcemy poznać prawdę, jeśli chcemy poznać głęboko, musimy

skorzystać ze wszystkich możliwości dotarcia do głębokiego poznania sprawy. Ale z drugiej strony owo dotarcie do głębokiego poznania sprawy nie dzieje się bezkarnie, zwłaszcza w odniesieniu do bliskiej przeszłości. W szczególności dotyczy to najnowszej historii Polski. Podam przykład. Podczas niedawno zorganizowanej na Uniwersytecie Jagiellońskim konferencji jedna z prelegentek ze Skandynawii opowiadała o tym, jak podczas wywiadu, o który zabiegała dość długo, dowiedziała się, że rozmówca jest sprawcą przestępstwa. Jak powinna postąpić? Jeśli zawiadomi policję, czy w przyszłości będzie w stanie dotrzeć do środowiska, które ją interesuje, a której przedstawicielem był jej rozmówca? Czy, jeśli tak postąpi, nie nadużyje zaufania tego człowieka? Przecież zadeklarowała, że udzielenie relacji niczym mu nie grozi. A więc po pierwsze etyka. Ale to nie wszystko. Bardzo ważna jest też sprawa empatii. Historyk, w momencie, gdy dociera do źródeł (myślę tu o źródłach do historii najnowszej), na pewno nie powinien pozostać na poziomie pozbawionym empatii. O ile to tylko możliwe, powinniśmy dotrzeć do człowieka, o którym piszemy, i próbować go zrozumieć. Unikać przy tym powierzchownych uogólnień, dostrzegać dramat ludzkiego bycia w czasie. Ale niezależnie od tego, co tutaj powiedziano, z pewnością podniesiona w pytaniu kwestia stanowi ogromny problem historyków dziejów najnowszych i może w skrajnych wypadkach prowadzić do naruszenia zasady Rankego, do złamania pierwszej zasady historyzmu – nie sądz, nie usurpuj dla siebie pozycji sędziego. Podejrzewam zresztą, że owo przekonanie części historyków o konieczności dystansu czasowego do badanych wydarzeń, o którym rozmawialiśmy na początku naszej dyskusji, bierze się stąd, że niektórym z nas wydaje się, iż, pisząc o osobie nieżyjącej, można nie liczyć się z konsekwencjami. Oczywiście jest to podejście absurdalne.

**Filip Musiał** – Nawiązując jeszcze na chwilę do poprzedniego wątku naszej dyskusji, chciałbym się zadeklarować jako zwolennik tezy o istnieniu zdań bazowych. Dlatego też zarysowany przez prowadzącego dylemat postrzegam przez pryzmat przekonania, że pewien przebieg wydarzeń potrafimy odtworzyć w sposób, który wydaje się nam zbliżony do rzeczywistych wydarzeń historycznych. Jeśli mówimy o godności osoby ludzkiej (wołę to określenie od sformułowania „godność jednostki”), to chyba powinniśmy rozpatrywać tę kwestię w dwóch wymiarach. Pierwszym, filozoficznym, w którym zakładamy, że osoba ludzka ma godność przyrodzoną, ale także godność wynikającą z etycznego działania. Idąc tropem tego rozumowania, musielibyśmy przyjąć, że jesteśmy w stanie odtworzyć działanie tej osoby i że naruszamy jej godność, pokazując, że osoba ta zachowywała się nieetycznie. Jest też i drugi wymiar – prawny. Mamy z nim do czynienia wówczas, kiedy mówimy o naruszeniu czci człowieka poprzez jego znieważenie. Z taką sytuacją moglibyśmy mieć do czynienia tylko wtedy, gdybyśmy zarzucili komuś czyn, którego ten człowiek nie popełnił. Jednym słowem, pomówilibyśmy go. Bowiemy jeśli założymy, że osoba, której działalność charakteryzujemy, uczestniczyła w jakimś wydarzeniu albo podejmowała jakieś decyzje polityczne – to my, opisując to, nie naruszamy jej czci, ponieważ nie pomawiamy jej, tylko relacjonujemy jej działalność.

**Zdzisław Zblewski** – Dziękuję za rozmowę.

**Mariusz Mazur** (ur. 1972) – historyk, dr hab., pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zajmuje się problematyką totalitaryzmów, propagandy, języka, społeczeństwem PRL. Autor monografii: *Propagandowy obraz świata. Polityczne kampanie prasowe w PRL w latach 1956–1980* (2003), *Polityczne kampanie prasowe w okresie rządów Władysława Gomułki* (2004), *O człowieku tendencyjnym... Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej Polski Ludowej i PRL* (2009).

**Filip Musiał** (ur. 1976) – historyk, dr hab., pracownik Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie, profesor Akademii Ignatianum w Krakowie, zastępca redaktora naczelnego „Zeszytów Historycznych WiN-u”, członek redakcji „Horyzontów Polityki” oraz Zarządu Ośrodka Myśli Politycznej w Krakowie, redaktor serii naukowych: „Niezlomni”, „Normatywy aparatu represji”, „Zagadnienia źródłoznawcze” oraz popularnonaukowej „Z archiwów bezpieki – nieznanne karty PRL”. Zajmuje się dziejami Polski ludowej, opublikował m.in.: *Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*, (2007); *Polityka czy sprawiedliwość? Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie (1946–1955)*, (2005); *Raj grabarzy narodu. Studia i materiały do dziejów aparatu represji w Polsce „ludowej” 1945–1989* (2010); *Skazani na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie 1946–1955* (2005); współautor m.in.: *Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918–1989* (wyd. 1, 2010; wyd. 2, 2011).

**Andrzej Nowak** (ur. 1960) – prof. dr hab., historyk Polski i Europy Wschodniej XIX–XX w., profesor zwyczajny w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk; kierownik Zakładu Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego; redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Autor kilkunastu książek, ostatnio opublikował: *Historie politycznych tradycji. Piłsudski, Putin i inni* (2007), *History and Geopolitics. A Contest for Eastern Europe* (2008), *Ofiary, imperia i historycy* (2009), *Od Polski do post-polityki. Intelktualna historia zapaści RP* (2010), *Ojczyzna ocalona. Wojna sowiecko-polska 1919–1920* (2010), oraz *Imperiological Studies: A Polish Perspective* (2011).

**Krzysztof Zamorski** (ur. 1952) – historyk, prof. dr hab., kierownik Zakładu Dziejów Historiografii i Metodologii Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się problematyką demografii historycznej, historii społeczno-gospodarczej i metodologią historii. Ostatnio opublikował *Dziwna rzeczywistość. Wprowadzenie do ontologii historii* (2008).

**Zdzisław Zblewski** (ur. 1967) – historyk, dr hab., adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w najnowszej historii Polski. Opublikował m.in.: *Między wolną Polską a „siedemnastą republiką”* (1998); *Okręg Krakowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” 1945–1948. Geneza, struktury, działalność* (2005); (z Antonim Dudkiem) *Utopia nad Wisłą: historia Peerelu* (2008).